

Reporter i jasnowidz: zwiadowcy nieznanego

Gdzie jest złoty pociąg?

Marek Szwedowski niczego nie wiedział o wydarzeniach, jakie przypuszczalnie rozegrały się 7 listopada 1944 r. w dolnośląskim Petersdorfie - dzisiejszych Piechowicach Dolnych. Tymczasem w trakcie eksperymentu hipnotyczno-jasnowidczego z udziałem medium wyszły na jaw szczegóły, które - w powiązaniu z innymi faktami oraz informacjami na ten temat - na sprawę jednej z najpilniej strzeżonych i do dziś niewyjaśnionych mrocznych tajemnic drugiej wojny światowej, zdają się rzucać nowe światło.

Przed trzema laty - jak ten czas leci! - na gościnnych łamach „NIEZNANEGO ŚWIATA” (nr 6 z 1994 r.) opowiedziałem o moich pierwszych spotkaniach z jasnowidzem Markiem Szwedowskim, mieszkającym w Laskach pod Warszawą. Zachęcony przez naczelnego „NŚ” Marka Rymuszkę do spisania niecodziennych doświadczeń, które - bądź co bądź, daleko wykraczały poza moją wiedzę na temat zjawisk paranormalnych, a co więcej - klóciły się rażąco z regułami praktykowanego przeze mnie rzemiosła, w którym obowiązuje przejrzysta sprawdzalność opisywanych faktów - dokonałem rekonstrukcji okoliczności, jakie na ścieżkę tego tematu mnie przywiodły. Czytelnikom „NŚ” przypomnę w skrócie najważniejsze fakty:

Mianowicie jakieś trzy lata przed publikacją na łamach „NŚ” mego reportażu „*Podejrzany z Czwartego Wymiaru*” zdarzyło mi się usłyszeć od Leszka Wilgata - znanego poszukiwacza skarbów, wielce zasłużonego w znajdowaniu pamiątek z pola bitwy nad Bzurą (bogacą dziś one muzeum w Sochaczewie) historię odnalezienia w lasach za Palmirami zwłok warszawskiego entomologa, którego od dwóch lat uważano za zaginionego. Osobliwością tej historii było, że zagadkę tej śmierci (do dziś nie w pełni wyjaśnioną) „rozjaśnił” nikomu wtedy nieznanemu dwudziestoparoletni tropiciel tajemnic z Lasek - Marek Szwedowski, właśnie przyjaciel Wilgata zresztą, wędrujący po okolicy z wahadełkiem i mapą. Osobliwość zaś tkwiła m.in. w tym, że Marek poczuł się powołany do tej misji przez napis, jaki ktoś umieścił na krzyżu

u wejścia do lasu: „*Pamięci tego, kto wszedł (tu było nazwisko) do puszczy i zaginął*” (tu data). Skoro napisu nie usunięto, a od czasu jego sporządzenia minęły dwa lata, to ZAGADKA KUSIŁA NADAL!

Szwedowski sporządził kseroodbitki mapy tej części Puszczy Kampinoskiej, która za Sierakowem ciągnie się w stronę Palmir i dalej na zachód, po czym na tych odbitkach - a było ich sześć jednakowych - „zgadywał” wahadełkiem miejsce domniemanej śmierci zaginionego. Szczęśliwie skupiał energię i wolę, zaznaczając



Tropiciel zagadek Historii - Leszek Wilgat. Świadek eksperymentów, o których mowa w reporterskiej relacji. Uczestnik eksperymentu z „namierzaniem” skrzyń przez Marka Szwedowskiego.

na papierze punkty „x”, aż po kilku tygodniach, gdy wszystkie sześć odbitek już oznakował, zajrzał do szuflady, gdzie leżały nieoglądane, i wtedy je porównał. Okazało się, że wahadełko pięciokrotnie trafiło prawie w ten sam punkt! Wędrowka do lasu, na bagna za Sierakowem, przyniosła zaś efekt zdumiewający:

wahadełko trafiło w punkt śmierci!

Zwłoki entomologa leżały na małej wysepce wśród bagien. Był przy nich aparat fotograficzny, lornetka, zegarek i... kijek do nart, który natychmiast rozpoznała córka zmarłego. Szwedowski zgłosił bowiem o swoim odkryciu milicji, w komendzie przy ul. Żytniej i tam popadł w opał, bowiem twardegłowi funkcjonariusze nie tylko wyśmiali jego „czarnoksiężskie” metody poszukiwania, ale i oskarżyli o... kradzież cennych przedmiotów, jakie rzekomo były przy zwłokach. Przypisywano mu nawet, że jest *ćpunem*, a swemu „przypadkowemu” odkryciu przypisuje magiczne cechy po to, by wyłudzić od rodziny zmarłego nagrodę!

Przyczyna śmierci zaginionego nie została po dziś dzień wyjaśniona i przypadek ten byłby szerzej nie znany, gdyby nie moja publikacja w „*Nieznany Świecie*”. Ja sam byłbym pewnie zresztą nie „wszedł” z tym na łamy, gdyby nie to, że Leszek Wilgat, a potem Wojtek Heinrich, Andrzej Bartosiewicz i inni tropiciele śladów wojennej historii, ponownie przypomnieli mi o Marku Szwedowskim.

Oto bowiem w okolicy zakładu dla ociemniałych dzieci w Laskach, podwarszawski jasnowidz odkrył zapomniany cmentarz wojenny, kryjący groby niemieckich żołnierzy, którzy zmarli w pobliskim szpitalu polowym. Brat jednego z tych zmarłych przybył do Lasek z przedśmiertnym listem swego kuzyna, na podstawie którego, w archiwach Wehrmachtu znajdujących się w RFN ustalono przybliżoną lokalizację cmentarza. Niestety! Mieszkańcy Lasek zaraz po wojnie zniwelowali groby i na tym miejscu założono ogród warzywny...

W mojej opowieści na łamach „NŚ” przedstawiłem dramatyczny przebieg pomocy, jaką Szwedowski okazał gościowi z Niemiec: wskazał on dokładnie miejsce grobu, gdzie wykopano szkielety wielu pogrzebanych. Miejscu temu przywrócono charakter zbiorowej mogiły, oznaczono je obeliskiem, napisem itd. Dzięki temu stało się zadość chrześcijańskiej zasadzie uszanowania wartości uniwersalnych, a narzędziem rozpoznania *Niezanego* i tym razem było wahadełko jasnowidza.

Byłbym może i tę historię zaliczył do *depozytu mej pamięci o rzeczach dziwnych* lub zbyt dziwnych, by je przelewać



Znaleziony przez Macieja Bartosiewicza niemiecki „nieśmiertelnik”. Po upływie pół wieku przemówił głosem wojennego dramatu.

na papier i sygnować własnym nazwiskiem, gdyby nie fakt, że od 1988 roku przebywam stale pośród ludzi PRZENIKAJĄCYCH TAJEMNICE HISTORII na sposób wieloraki: narzędziami *geosejsmiki*, aparaturą elektrooporową, megnetometryczną, a także... intuicją, czy też raczej... *szóstym zmysłem*. W książce, która się już na ten temat ukazała - „**POTWORY WYCHODZĄ Z KRYJÓWEK**” (Oficyna Orgelbrandów, Warszawa 1996) - zaprezentowałem galerię takich właśnie ludzi, odnajdujących na miejscach dawnych bitew ślady, które zdawały się być od dawna zatarte, oddane nicości, a przecież - wyłoniły się z niebytu i krzyczą do nas pełnym głosem! Pasja, nieślabnąca wola i benedyktyński trud *detektywów z bożej łaski* sprawiły, że

ŚLAD NIE BĘDZIE ZATARTY. Owe „potwory” czyli hitlerowskie czołgi zatopione w rzekach i bagnach, samoloty zestrzelone w bitwie, działa porzucone w odwrocie lub zapadłe w topieli - to naczelnii bohaterowie zmagają o przywrócenie pełnego brzmienia Historii - wszak „wrażą” ciężką broń przetopiliśmy bezmyślnie w hutach, nie dbając o to, co powiedzą o naszym „magicznym fetyszowaniu Historii” przyszłe pokolenia; blaszki identyfikatorów, tzw. „nieśmiertelniki” dopiero od niedawna przestają być kolekcjonerską błyskotką, a nabierają znaczenia dokumentu ostatecznej instancji, komunikują nieodwołalnie o losie zabitego Niemca lub Polaka. To właśnie jeden z bohaterów mojej książki **Maciej Bartosiewicz**, kolega Leszka Wilgata, wspólnie ze swoim synem Wojtkiem przywrócili godność odkopanym szczątkom żołnierza Wehrmachtu, znajdując wykrywaczem metalu jego hełm, a potem „nieśmiertelnik” z czytelnymi wciąż znakami jednostki - 22 Aa-I Pz. Abw. Abt. 654, co pozwoliło archiwistom niemieckiego Czerwonego Krzyża odnaleźć rodzinę poległego i oznaczyć miejsce jego pochówku... Bartosiewiczowie, ojciec i syn, zawezwali mnie też wkrótce na spotkanie z Markiem Szwedowskim, do mieszkania Wilgatów, abym obejrzał znalezioną amunicję i broń zrzutową od dawna już poszukiwaną przez Muzeum Wojska w okolicy Lasek, dobrze znaną z legendy i przekazu żołnierzy KEDYWU, a przecież umykającą przed antenami wykrywaczy. Dopiero Szwedowski - swoim czuciem, intuicją i wahadełkiem

naprowadził tropicieli na właściwy ślad.

I właśnie ta historia skłania mnie do powrotu na łamy „NŚ” z relacją o losach skarbu, „namierzonego” przez jasnowidza w czasie owego wieczornego spotkania u Róży i Leszka Wilgatów. Z premedytacją powtarzam tu nazwiska osób, będących **świadkami seansu, bowiem nie jest to opowiadka wykosana z palca, a jej finał właśnie się dokonał.**

Przypomnę: w 1987 r. odwiedziłem z kamerzystą telewizji Andrzejem W. pewien PGR (Państwowe Gospodarstwo Rolne) na Mazurach - nazwę wymienię

potem - w celu obejrzenia... komórki na węgiel, będącej miejscem ukrycia dużego, w dwóch skrzyniach złożonego skarbu. W styczniu 1945 roku, niedługo przed natarciem wojsk radzieckich na Prusy, właściciele posiadłości zmusili czterech robotników przymusowych do zakopania we wspomnianej komorze opałowej owych dwóch skrzyń i leżały



Chwywanie „potwora”: lufa zatopionego czołgu podnosi się z wody. Jeden ze sposobów przenikania w Historię.

one jakoby tam nadal! Wskazał to miejsce Andrzejowi W., a następnie powtórzył tę informację również mnie, pewien rolnik z okolic Warszawy - ciężko chory inwalida, wierzący, że dwaj dziennikarze (telewizja!) zdolni są wynegocjować dlań wysokie „znalężne” z Ministerstwa Kultury i Sztuki, a zdobyte w ten sposób pieniądze będzie mógł przeznaczyć na leczenie. W tamtych latach kompletnie idiotyczny przepis dozwalał, by znalazca otrzymał od państwa „aż” 10 procent wartości skarbu, jednakże w kwocie nie wyższej niż 300 tysięcy złotych!!! Dzisiaj, pod naciskiem licznej rzeszy poszukiwaczy, wobec żałosnych doświadczeń ze skarbami, znalazcami itd., normy prawne uległy *europelizacji* i od 1 stycznia 1996 r. znalazca skarbu - jeżeli nie jest to obiekt archeologiczny - może liczyć na kwotę 250-300 mln starych zł, a nawet i większą - do pięciu milionów dolarów! - gdy jest to skarb poniemiecki.

Niestety! Wskaziciel „naszego” skarbu już nie żyje i z dobrodziejstw nowego prawa nie skorzysta.

Wówczas, w styczniu 1945 r. była noc, padał śnieg, a w majątku zostało tylko parę osób. - *Niemcy w panice wyjechali wcześniej, została właścicielka i jej kamerdyner, uzbrojeni w broń palną oraz my, dwaj Polacy i dwaj Włosi...* - relacjonował świadek. - *Do rana wykopaliśmy w komorze dół, a potem złożyliśmy tam dwie ciężkie skrzynie wielkości trumien. Co w nich było - nie wiem... Rosjanie uderzyli za kilka dni, Włosi gdzieś się podziali, a my z kolegą jakoś przeżyliśmy*

frontowe dni. Niemka i jej kamerdyner zniknęli. Czy przeżyli? - nie wiem. Kolega mój już nie żyje. Ja z nim raz jeden byłem w tym PGR, ale baliśmy się ogłaszać tę sprawę, bo kłopotów byłoby więcej niż korzyści... I tak zostało.

Pominę tutaj wszystkie inne szczegóły piętrzącej się, aż do absurdu, naszej krzątaniny wokół skarbu: Czytelniczy mej książki „TROPICIELE SKARBÓW” (Oficyna Orgelbrandów), która właśnie kończy się drukować, znajdują tam opis wszelkich gier i podchodów, jakie rozegrały się wokół tych zakopanych skrzyń. W tym miejscu powiem tylko tyle, że do dnia spotkania z Markiem Szwedowskim u Wilgatów jedynie ja, wspólnie z moją żoną Alicją, byliśmy wtajemniczeni spośród obecnych,



„Widzę czterech mężczyzn, którzy zakopują dwie skrzynie...” Marek Szwedowski nie mógł poznać tych faktów w żaden inny sposób, niż jedynie drogą paranormalnego odczytu!

w zawilości tej historii. Proszę więc wyobrazić sobie nasz szok, gdy Marek wziął do ręki kartkę z narysowanymi na niej kilkoma prostokątami, gdzie jeden oznaczał dawne czworaki dworskie, inny kaplicę na cmentarzu, jeszcze inny - dawny pałac, linia - drogę, zaś nieduży prostokącik ową komórkę opalową - po czym po upływie 23 minut spędzonych na koncentracji w osobnym pokoju wrócił do nas i rzekł:

- ... Widzę czterech mężczyzn, którzy zakopują jakieś dwie skrzynie niby trumny, o tutaj... w tym prostokącie... Widzę kobietę starszą i jakiegoś starego mężczyznę. Dwaj mężczyźni mówią po polsku, a dwaj inni tak jakoś dziwnie..., oni są z kraju, gdzie śpiew taki zatamany (Tyrol, jodłowanie? - przyp. aut.), pije się wino, dużo wesoleści. Ale jest też trup, ciało leży po drugiej stronie drogi, tu jest droga, a tu cmentarz, blisko...

Zapytałem:

- Co jest w skrzyniach?

- Wiele przedmiotów. Dziwnych. One mają wartość, ale nie są ze złota ani srebra, w każdym razie w tej skrzyni, co

na górze... Coś jak figura leży na wierzchu... Dziwna mgła...

W moim kierunku padło ostrzeżenie:

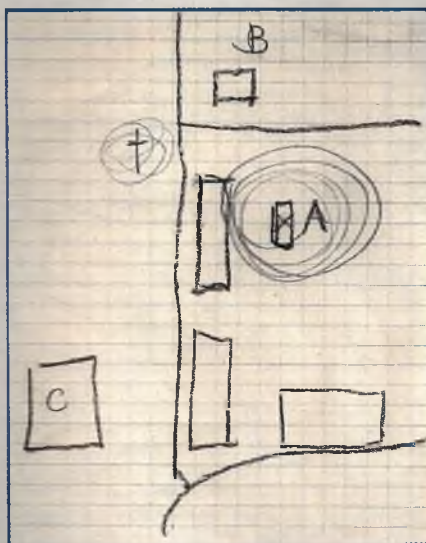
- Niech pan się nie zbliża do tego miejsca, to jest niebezpieczne!

Zanim Marek mnie ostrzegł - i tak już postanowiłem, wcześniej, nie zbliżać się do skarbu w Imionku - tak brzmi nazwa majątku w pobliżu Pisz. Ryzyko zatargu z prawem było nazbyt oczywiste, a prawdopodobieństwo znalezienia skrzyń na drodze jakiejś ugody z właścicielami komórki... szalone! Lojalność wobec wskaziciela - obowiązywała.

Jednym słowem - kwadratura koła.

Finał: 18 kwietnia 1996 roku wyjechaliśmy do pobliskiego Okartowa nad Śniardwami, w składzie pięciosobowej ekipy Towarzystwa Poszukiwania Zabytków, którego jestem współzałożycielem i - w celu „eksploracji” studni, gdzie ponoć Niemcy złożyli jakiś skarb. O tej wyprawie w „Tropicielach” jest cały rozdział, tu zatem tylko nadmienię, że nareszcie udało się zgromadzić grupę ludzi, którzy pod egidą Ministerstwa Kultury i Sztuki postanowili jawnie oraz legalnie podejmować ryzyko tego rodzaju poszukiwań. Ta właśnie okoliczność zdecydowała, że postanowiliśmy z Alicją „zbliżyć się” do miejsca, gdzie leżą owe skrzynie.

Pojechaliśmy do Imionka z Henrykiem Nowackim - zawodowym poszukiwaczem i dr. Jackiem Wilczurem - prezesem TPZ, w samo południe, w dodatku z kamerą. Nie zdradzając jeszcze celu na-



Oryginalna kartka z „prostokącikami” Alicji - jedyny „środek przekazu”, jakim dysponował jasnowidz. Litery „A”, „B”, „C” oznaczające kolejno - komórkę z ukrytym skarbem, kaplicę na cmentarzu i dawny pałac, zostały naniesione w czasie rozmowy przy stole. Krzyżyk po lewej stronie drogi znakuje miejsce, gdzie, wedle Marka, znajdują się zwłoki kogoś, kto zginął w związku z tą sprawą(?)...

szej wizyty, a pozorując tylko zainteresowanie kupnem części majątku dawnego PGR, weszliśmy na podwórko, gdzie stoi legendarna komórka na opał, po czym... Rozmowni mieszkańcy Imionka ochoczo opowiedzieli nam, jak to dwa lata temu jacyś dzentelmeni z Warszawy, pod pretekstem budowy pieczarkarni zawarli kontrakt na dzierżawę komórki, dobudowali do niej rodzaj „szklarni”, wykopali potężny dół pod fundamentami, wkopali się należycie i... zaprzestali wznosić szklarnię! Wyjechali. Zniknęli! Owszem, zapłacili suty zadatek, zostawili też wszystkie materiały. Ot, dzentelmeni! Nam zaś nie pozostało już nic poza filmowaniem miejsca „eksploracji”. Nie muszę chyba dodawać, że

chodziło o tę samą komórkę

którą „namiarzył” jasnowidz Szwedowski.

Markowi Szwedowskiemu o tym ostatnim zdarzeniu opowiedziałem w styczniu 1997 r. - kiedy to spotkałem się w Nowej Wsi w mojej pracowni przed ekranem wideo, na którym mógł on po raz pierwszy ujrzeć w plenerze „prostokąciki” budynków PGR, jak i ową komórkę, której zdjęcie czytelnik widzi na fot. nr 8: na lewo od postaci Alicji, zmierzającej ku wysiadającym przed czworakiem gospodyniom, dostrzegamy niewielki budynek, a przed nim stertę gruzu i biało odcięty od podwórkowego gruntu ślad po eksploracji skarbu. Jest to zapewne pierwszy tego rodzaju fotodokument publikowany w naszej prasie, bowiem wszystkie te opowieści o poszukiwaczach „co to, panie, przyszlizli nocą, ustawili namiot, wykopali i uciekli!” dziwnym trafem nie mają oparcia w godnej dokumentacji. Prezentowane w „Nieznany Świecie” zdjęcie notabene wykonałem ukradkiem, by nie zwracać uwagi na obiekt mego zainteresowania.

- Panie Marku - zagadnąłem wówczas - przekonałem się, jak wiele pan może. Aż do tej wizyty w Imionku nie bardzo byłem przekonany... Te gryzmoły Alicji na papierze... jak mógł pan tyle z nich odczytać? Ba! Nie wiem wcale, jak się pan narodził jako jasnowidz...

- Nie mówiłem? Miałem piętnaście lat, gdy zacząłem umierać. Nagle stwierdzono u mnie ropne zapalenie opon mózgowych. W szpitalu zgięto mnie w pałak, by pobrać płyn rdzeniowy i wtedy ODLECIAŁEM Z CIAŁA. Odbyłem cudowną podróż do zielonej krainy marzeń. Były tam indiańskie wigwamy i dobrotliwi starcy, szmer strumienia i pasące się rumaki... Leciał ze mną mój Opiekun - dobry duch Ta-

buru. To on mnie zawrócił z tego szybowania. Pamiętam dźwięki jego szklanostrunej harfy i głos nakazujący: „Ja, Taburu, twój Opiekun, mówię ci, że nie nastąpi jeszcze pora...” Dziwne: czemu Taburu, a nie Beter, Zadkiel albo Aratrom duchy planet? Nie wiem, czemu to imię odezwało się we mnie po przebudzeniu z letargu w szpitalu, a w trudnych chwilach wciąż



Kolejny świadek: Henryk Nowacki, zawodowy poszukiwacz skarbów. W kwietniu 1996 r. w Okartowie podjęliśmy próbę dokopania się do skarbu ukrytego w studni (Alicja po prawej), jednak próba ta omal nie skończyła się tragicznie. Szczegóły w książce.

dźwięczy w uchu. Tkwiłem w jakimś półśnie, gdy sąsiad leżący obok na szpitalnym łóżku jął oglądać fotografie, jakie przyniosła mu zapłakana żona: spojrzałem na jedną z nich i zobaczyłem, że mężczyzna ze zdjęcia spada z wysokiego rusztowania, zabija się... W godzinę potem on mówi, że to jego brat, razem spadli z rusztowania, ale brat nie przeżył! Więc jakże to?... JA WIDZIAŁEM, CZEGO NIE MOGŁEM WIDZIEĆ? Poprosiłem mamę, by przyniosła mi do szpitala album rodzinny, zacząłem wpatrywać się w zdjęcia osób bliskich i znajomych i one się ruszały... To znaczy: niektóre fotografie „ożywały”, ni by otwarte nagle okna, przez które było coś widać innego - jakiś obraz zdarzenia, niezrozumiałą dla mnie scenę, która mogła się zdarzyć albo się już zdarzyła. Znacznie później dowiedziałem się o franciszkanie, Czesławie Klimuszko, który miał zdolność czytania z fotografii, i to w stopniu niesamowitym. Ja chyba mam w sobie jakiś zadatek tej właściwości, bo to u mnie przychodzi spontanicznie, rzadko na zamówienie. Niekoniecznie „wywoływaczem” musi być fotografia; wprawdzie chodziłem do technikum fotograficznego i lubię obcować z materiałem zdjęciową, ale może mnie pobudzić także przedmiot, albo na przykład czyjeś ubranie...

Bluza wskazała miejsce

W okolicy Lasek zaginął pewien mężczyzna, znajomy mojego ojca, jego pomocnik na budowie. Ojciec już wtedy nie

żył, ale ubranie robocze, bluza tego zaginionego, ciągle u nas wisiała... Milicja dała sobie już spokój z szukaniem. Wchodzę do szopy, gdzie wisiała ta kurtka pana Benka - a było to po rozmowie na jego temat - widzę scenę: siedzi niedaleko, w domu ogrodniczeki pod lasem, zamknięty w piwnicy... Mama powiedziała o tym posterunkowemu, bo mnie i tak uważali za świra, nie uwierzyliby. Znaleźli go tam, przykutego do kraty łańcuchem... Ta kobieta miała z nim kiedyś gorący romans, on poszedł do innej, po wielu latach zwabiła go na wódkę, upiła i... Co tam między nimi się działo przez te dwa miesiące? Temat dla Dostojewskiego.

Rodzina innego zaginionego pokazywała mi przedmioty należące do niego, a wśród nich parasol, którego nie dotykał on już cztery lata, bo wyszedł z domu przed czterema laty i nie wrócił. Stałem pod rozpostartym parasolem. Nie wiem czemu mi to przyszło do głowy, ale zobaczyłem jak ten człowiek wspina się na wysoką brzozę, zawiązuje pętlę na szyi... W pół roku później ciało wisielca spadło na leśnego wozaka, który przejeżdżał tamtędy furmanką. Wisiało na wysokiej brzozie.

- Czyli bezpośredni kontakt z przedmiotem „naładowanym” energią zaginionego Panu pomaga?...



W ostatniej chwili z głębokości ośmiu metrów Nowacki zdołał wyostać się na powierzchnię... Kurawka spowodowała „rozjechanie” kręgów betonowych.

- Nie wiem. Bo i z fotografią jest tak, że czytam np. „Nowego Detektywa”, a tam jest r e p r o d u k c j a zdjęcia zaginionej dziewczyny, którą poszukują dziennikarze z programu Fajbusiewicz „997”. Bez żadnego zastanawiania się zobaczyłem ją, jako uciekinierkę z domu, panienkę z towarzystwa, przysposobioną całkowicie dobrowolnie w agencji towarzyskiej... Napisałem do łódzkiej telewizji i chyba w tydzień była już w mnie ekipa z kamerą i pytali jak, skąd, od kiedy o tym wiedziałem, bo tak właśnie było. Rodzina znalazła marnotrawną córkę, ona jednak nie chciała wracać na drogę cnoty.

Rurki z platyny i ścięta grusza

Nadal Marek Szwedowski:

- Po pańskim artykule w „Nieznany Świecie” w 1994 roku, na mój adres zaczęły napływać listy z prośbami, którym sprostać mógłbym tylko w części. Głównie pytano o zaginione osoby, a w takim przypadku przeważnie miałem odpowiedź niewesołą. To mnie przygnębiało i wciąż przygnębia na tyle, że wolałbym się schować w mysią dziurę niżli widzieć oczyma czyjąś śmierć - patrzeć, nie mogąc w niczym pomóc, jak np., gdy widzę, że ten chłopak wypada z łodzi i tonie parę kroków od brzegu, w stawie, więźnie w korzeniach drzewa i tam nikt go nie szuka... Smak przygody przynoszą zawsze listy, zawierające ofertę odnalezienia SKARBU. Często są one jednak wręcz hochsztaplerskie. Ludzie wręcz domagają się od jasnowidza, by im wskazał konkretne miejsce, gdzie leży złoto! Proponują beczelne układy, kontrakty, spółki itd. Dużo takich listów przychodzi ze Śląska, gdzie wciąż jest wiele ponieemieckich przydomowych skarbczyków, skrytek, depozytów. Jeden pan przysłał mi np. ciągle zdjęcia jakichś budynków i prosi o nakłuwanie ich szpilką w miejscach, które mogą być „obiecujące”. Deklaruje wysoki procent znaleźnego. Hmm... Wierzy chyba, że ja uwierzę z góry w jego uczciwość. Nakłułem mu już trzy mapy i dwa zdjęciowe obiekty, co do których jestem pewien, że tam coś jest ukryte... Żadnego echa!

Zaproszono mnie kiedyś w okolice Wałbrzycha, żebym zbadał okiem poszukiwacza skarbów sporą posiadłość. Od razu przy obiedzie, spojrzawszy przez okno do sadu, wytypowałem stare drzewo, piękną gruszę w środku rabaty i bąknąłem, że chyba coś mi się widzi... Naza jutrz z rana, ku mojemu przerażeniu, ujrziałem gruszę powaloną, wykopaną z ko-



ze str.15

zeniami! Gospodarz tonem wyrzutu mówi: - *Jaki tam skarb! Widzi pan tę bańkę na mleko? Niemcy schowali w niej jakiś mundur, dwa medale z pierwszej wojny i przerdzewiały budzik...* - Zmarnował



Z Okartowa do Imionka blisko. Na lewo od idącej przez podwórze osoby, widać ową komórkę i widoczny ślad... (strzałka).

pan takie piękne drzewo? - mówię. - *Wystarczyło bańkę wykopać nie ruszając gruszy.*

Ja nie jestem żaden komputer, żeby taksować intuicyjnie wartość skarbu. Widocznie energia człowieka co to zakopywał była tego rodzaju, że **on widział w tych rzeczach skarb, skoro starał się je ukryć.** Kto wie, jakie losy były wpisane w ten mundur i w te medale? Skarb niejedno ma imię. Niestety: w tym „gościnnym” domu mam odtąd wrogów, kpią teraz ze mnie.

- *Policja korzysta z pana pomocy?*

- Sporadycznie. Już po pańskim artykule było kilka takich przypadków, ale obowiązuje mnie deklaracja tajemnicy. Chodzi o poważne zbrodnie, jest krew, są



Jeden z planów - map Podsińskiego.

nadal nieujęci sprawcy... W ubiegłym roku z huty szkła w Krośnie zgłoszono mi zaginięcie kilkunastu rurek platynowych, będących na wyposażeniu tamtejszego laboratorium. Wartość platyny oceniono na cztery miliardy starych złotych. Bagatela!

Pojechaliśmy tam we trójkę z moją „obstawą”, bo w tych sprawach żartów nie ma... *Szesty zmysł* podpowiedział mi, że ktoś „swój”, z załogi huty, ale w Krośnie już nieobecny, niesie te rurki w stronę granicy ze Słowacją. Trafiliśmy na jego trop: w **oznaczonym przeze mnie miejscu, na granicy policjanci spasowali!** Dziś już wiadomo, że ów gość pokazał się z towarem na Słowacji u złotnika; platyna jest trudno topliwa, bodajże potrzebuje 1600 stopni, więc musi być odpowiedni tygiel... A w hucie z naszej pomocy wcale nie było radości! Powiedziano mi później, że zakład jest obciążony długami, ktoś prysnął do Ameryki, a lokalni detektywi pobrali opłaty za... **nieściganie.** Nie zwrócono nam nawet kosztów podróży!

Mógłbym też to i owo opowiedzieć o naszych terrorystach, zwłaszcza tych związanych z gangami, ale temat jest bardzo niebezpieczny, zwłaszcza gdy chodzi o podkładanie bomb. Jedna z takich bomb wybuchła w opróżnionym na czas pomieszczeniu, nie robiąc nikomu krzywdy... Wtedy pojawia się jednak ryzyko podejrzenia:

a może wizjoner maczał w tym palce?

Czytelnicy mojej najnowszej książki „*Tropiciele skarbów*”, która być może ukaże się już w początkach maja, znajdują także w jej pierwszym rozdziale wyczerpującą relację o najdziwniejszej z przegód tego rodzaju, w jakich wciąż z moją żoną Alicją uczestniczymy. Mistyfikacja to, czy rzeczywistość? Do dziś tego nie

wiemy. Nie wie tego także polski rząd w osobach kilku ministrów, którzy podpisali w 1994 r. rodzaj zobowiązania (za podpisem min. **Stanisława Żelichowskiego**) wobec **Władysława Podsińskiego**, że będzie mu wypłacone wysokie znaleźne za udzielenie dokładnych informacji o miejscu ukrycia w masywie wzniesień koło Piechowic Dolnych, niedaleko Jeleniej Góry, zasypanego tam pociągu hitlerowskiego z ogromnym depozytem skarbów Trzeciej Rzeszy. Pomijając tutaj historię wtajemniczenia, jak i dowodów, którymi legitymuje się pan Podsiński. Także i **niebывале sensacyjne wątki** dwunastoletniej pracy detektywa - amatora, który na granicy ryzyka utraty życia odszukał świadków ukrycia pociągu, badał osobliwości piechowickich wzniesień, aż w końcu sam stał się obiektem ścigania...

Faktem jest natomiast, że do Piechowic, na miejsce wskazane przez pana Władysława, **raczyli się fatygować przedstawiciele wysokich urzędów**, w ślad za tym posyłano tam tajne ekipy eksploracyjne, podążające za ekipami, które



Narysowałem: pociąg skręcający w lewo ku górze. Medium patrzy nań od czoła. lewa dłoń wskazuje kierunek...

(nieoficjalnie) raz coś znajdowały, aż innym razem wszystkiemu zaprzeczały. Utajnionych świadków spotykały też rozmaite represje, a wszystko to wikał się po dzień dzisiejszy!

Faktem jest także, że tylko my oboje, jako tandem dziennikarski - Alicja i ja - **podjęliśmy własne rozpoznanie na miejscu z udziałem kamery filmowej** i w obecności Podsińskiego. Towarzyszył nam w tym poczynaniach prezes Towarzystwa Poszukiwania Zabytków - dr Jacek Wilczur. Inni dziennikarze piszący na ten temat nie fatygowali się zaglądać do „*domku ogrodnika*”, który dziś udaje budynek gospodarczy, a faktycznie jest... bunkrem z zabetonowaną już po wojnie klapą w podłodze. Nasza kamera filmowała dziwne studzienki na zboczu góry, których obecności nikt nie umie

wyjaśnić, a które, wedle Podsińskiego, są częścią systemu odwodnienia rozległych podziemi z ukrytym w nich pościągami...

Wiele innych dziwów widziała nasza kamera we wrześniu 1996 r., skierowana tam na zlecenie telewizji POLSAT.



Z poruszających się bezgłośnie warg wreszcie wydobyły się słowa: „Wjechały trzy pociągi...” (wideokadr).

Dziwów tych jednak łaska Opatrzności czy raczej osobliwe złe moce nie dopuściły na ekran. Zapowiedziany już 14-minutowy reportaż „Złoty pociąg”, który miał być emitowany 21 września 1996 r., zdjęto w ostatniej chwili bez wyjaśnienia!

Sprawa Złotego Pociągu jest dodatkowo tym dziwniejsza, że Podsiński - wskaziciel, już od dwóch lat „ucieka” ze swym skarbem w jawność! W listach kierowanych do urzędów, ambasad i redakcji, zamieszcza on plany i mapy podziemnych tuneli, objaśnia systemy ich zaminowania etc. Obawiając się zemsty neo-hitlerowskich środowisk - rozgłasza to, co zazwyczaj jest jądrem tajemności!

W dniu 7 listopada 1944 r. przyjechał do Piechowic pociąg ze skarbami z Jeleniej Góry i o godzinie 14-ej zatrzymał się przed fabryką torped, obecnym zakładem „KARELMA”, by nocą ruszyć stamtąd w składzie 12 wagonów w stronę pobliskiej góry po torze prowizorycznym i tam do tunelu ciągniony przez lokomotywę od przodu i pchany przez drugą z tyłu, został doprowadzony... Płyta stalowa za drugą lokomotywą umieszczona zamknęła wejście, ładunek minowy zasypał wlot tunelu, załoga pociągu została żywcem pogrzebana... - tak zwykle opisuje to zdarzenie pan Podsiński. Reszta jest milczeniem.

Dla mojej książki, która opowiada także o Złotym Pociągu, postanowiłem uzyskać głosę nieco inną, niżli zwykle to czynię. Mianowicie chciałem przekonać się CZY JASNOWIDZ PRZENIKNIE W TAK ODLEGŁĄ HISTORIĘ?

Tak właśnie doszło do połączonego

z hipnozą eksperymentu jasnowidczego, jaki przeprowadzony został z udziałem Marka Szwedowskiego w naszym domu w styczniu 1997 r., a którego przebieg utrwaliłem na taśmie filmowej.

- Czy mógłbyś wywołać moje widzenie jakiegoś obrazu z rozwijającego się zdarzenia na stacji kolejowej w dniu 7 listopada 1944 r. w Petersdorfie, czyli Piechowicach Dolnych? - spytała Alicja. Nasz gość zgodził się.

- Kiedy będziesz w stanie hipnozy zapytam cię o to, a ty będziesz zdawała sprawę z tego, co widzisz - zaproponował. - Spróbujemy.

Umówiliśmy się, że ja pytań zadawać nie będę, a Marek nie otrzyma żadnych wstępnych objaśnień. Wiadome było mu tylko tyle, że interesuje nas los pewnego pociągu, który 7 listopada 1944 r. był w Piechowicach - Petersdorfie. Jeśli natomiast chodzi o Alicję, była ona wprawdzie ze mną w Piechowicach, ale tylko w rejonie „domku ogrodnika”. Nie mogła więc wiedzieć, jak wygląda konfiguracja terenu, gdzie znajduje się stacja kolejowa, a zwłaszcza która torowa mogła prowadzić prowizoryczny tor... Nawet ja, zresztą, śledząc przebieg seansu z pozycji obserwatora, dopiero po jego zakończeniu, rozłożyłem przed sobą plan narysowany przez pana Władysława i przymierzylem doń to, co w czasie eksperymentu zarejestrowała moja kamera.



Marek Szwedowski: - „Co jest w wagonach...”.

Działy się zaś w jego trakcie rzeczy zaiste niezwykle. Oto bowiem w siódmej minucie od momentu wejścia w stan hipnozy, pogrążona we śnie Alicja, po słowach Marka: „Powiedz, Alicjo, co teraz widzisz, co dzieje się na stacji” - przerwała długie milczenie i z jej bezgłośnie dotąd poruszających się warg, wydobył się mozolny półszept:

- Wjechały trzy pociągi (tu mamrota nie, długa pauza...) lokomotywa z przodu i z tyłu...

- Trzy pociągi czy tylko trzy wagony?

- Pociąg stoi krzywo. Lokomotywa z tyłu jeszcze ciepła, ale nie chodzi (!)...

Martwa lokomotywa. Wagony ceglaste koloru. Pies biegnie koło mnie...

- Co robi ten pociąg, co robią ludzie...?

- Nie ma ludzi. Biegnie pies, wesoły pies. On biegnie do wartownika, co stoi na stopniu wagonu... drugi wartownik, na peronie, ma czarną kurtkę z czerwoną opaską, pali papierosa. Na opasce czarny ptak...



Dłoń medium wskazuje kierunek (wideokadr).

- Co jest w wagonach, wejdź do środka, otwórz.

- Paki, duże paki. Okrągłe. Beczki. Nie można zajrzeć.

- Nie widzisz, co jest w środku? W tych beczkach?

- Nie można otworzyć. Pociąg jedzie krzywo.

- W jaką stronę skręca pociąg?

- W tę stronę (lewa dłoń się unosi, wygina w lewo). Mocno kołysze. Jedzie przez szosę w poprzek. Dwa domy stoją dalej, czarny las na górze. Staje. Ruszył. Zaraz upadnie... ziemia się kołysze.

Okrzyk Alicji był tak bolesny i pełen trwogi, że Marek zdecydował się przerwać seans i rozpoczął wybudzanie.

Tylko tyle. **Aż tyle.**

Mnie - reporterowi i badaczowi dobrze obeznanemu z topografią Piechowic, ślęczącemu nad mapami, które dają się przyłożyć do planów i schematów Podsińskiego, wydaje się oczywiste: **skłon lewej dłoni prawidłowo prowadzi właśnie domniamaną linię nie istniejącego już toru w stronę szosy, tam tor ją przecina. W oddali widoczne są dwa domy straży fabrycznej (stoją do dziś).** Tunel zaczyna się tam, gdzie medium wyczuło kołysanie (wybuch?), zaczęło krzyżeć (czyżby osuwało się zbrocze?), gdzie KURTYNA TAJEMNICY OPA-DA LUB SIĘ WZNOSI.

Reszta jest wciąż milczeniem.



Wszystkie zdjęcia ze zbioru Alicji Badowskiej-Wójcik.

Zdjęcie autora: Marek Rymuszko